

## PROLOG

*Nieco ponad rok wcześniej...*

### Josie

Kiedy odbierasz telefon i zupełnie obcy człowiek mówi: „Jestem twoim ojcem”, wiesz, że to dzień, w którym twoje życie zaraz się zmieni.

Spójrzcie na Luke’a Skywalkera. Jego życie wywróciło się do góry nogami po usłyszeniu tych trzech słów. I chociaż nie byłam jakąś strażniczką sprawiedliwości, która miała zostać zepchnięta na skraj zła, a mężczyzna dzwoniący do mnie nie był charczącym galaktycznym złoczyńcą w masce, mój świat nieco się zachwiał.

W trakcie jednej rozmowy przeszłam od posiadania rodzica, o którym nic nie wiedziałam (poza tym, że miał na imię Andy), do wejścia w życie mężczyzny, któremu dwadzieścia dziewięć lat temu zdarzyło się spędzić jedną noc z moją matką. I oczywiście mam przez to na myśli jednorazowy skok w bok, po którym nigdy nie oglądasz się za siebie. Co jest w porządku, naprawdę. Mama nigdy nie mówiła za wiele ani o tym, ani o mężczyźnie, z którym przeżyła tę przygodę, ale zawsze opowiadała mi wystarczająco dużo, żebym nie miała żalu ani do

niego, ani o to, jak zostałam poczęta. Co nie znaczy, że jakaś część mnie nigdy się nad tym nie zastanawiała. Wprost przeciwnie. Ale w większości przypadków zawsze byłam zadowolona z tego, co wiedziałam. Co z tego, że byliśmy tylko mama i ja? Co z tego, że nasza rodzina wyglądała inaczej niż rodziny innych dzieci? Co z tego, że musiałam wypełnić jedną stronę swojego drzewa genealogicznego kolekcją naklejek ze zwierzętami morskimi, przez co przez całą piątą klasę nazywano mnie meduzą? To niezwykle stworzenia, kompletnie niedoceniane, i byłam z tego dumna. Bycie wychowywaną przez samodzielnego rodzica wcale nie było takie rzadkie ani dziwne. I jak zawsze mówiła mama: „Normalność to coś, co robisz z kartami, które wręcza ci los”.

Okazało się, że los miał w zanadrzu parę jokerów.

Ponieważ po blisko trzech dekadach milczenia mój ojciec do mnie zadzwonił. I miał imię (Andrew, nie Andy, jak sobie życzył), nazwisko (Underwood), kod pocztowy (Miami) i najwyraźniej misję, by wprowadzić mnie do nowej rodziny. Przedstawić nowemu światu. Rzeczywistości, do której nigdy nie spodziewałam się należeć.

Miałam też siostrę. Siostrę! A sam Andrew Underwood? Był ważną osobistością.

I nie mówimy tu o kimś, kto po prostu dobrze sobie radził. Mówimy o potentacie biznesowym, właścicielu multimilionowej korporacji, nazwisku w medialnych nagłówkach, o kimś, kto bez wątplenia miał szofera, prawdopodobnie też helikopter – coś w ten deseń. Był właścicielem klubu piłkarskiego MLS, na litość boską. Andrew Underwood radził sobie więcej niż dobrze. Wspólnie prosperował. I wiedziałam o tym nie dlatego, że właśnie tak mi się przedstawił, ale dlatego, że słyszałam o tym człowieku, jeszcze zanim do mnie zadzwonił. Tak jak wszyscy w Green Oak, w całym hrabstwie, a ostatnio nawet w większości kraju.

Dlatego się roześmiałam. Po niewiarygodnie długiej pauzie wypełnionej milczeniem roześmiałam się. W zasadzie miałam

do wyboru albo to, albo odłożyć słuchawkę. Ponieważ ten mężczyzna mówił mi – Josie Moore, burmistrzynie mojego rodzinnego miasteczka, dumnej właścicielce kawiarni, kolekcjonerce wszystkiego, co błyszczące, i entuzjastycznej naprawiaczce potłuczonej ceramiki – że ojciec, którego miejsce w moim drzewie genealogicznym wypełniłam diabłem morskim, to Andrew Underwood. To jeszcze nie wszystko, ponieważ okazało się, że ja też w jakiś sposób jestem częścią skomplikowanego, bogatego świata, wręcz żywcem wyjętego z dramatu HBO, którego osi fabuły jest podtrzymywanie rodowego dziedzictwa. Nie pasowałam do tego świata. Byłam dziewczyną z małego miasteczka. I czułam się z tego dumna. Jasne, byłam krótko zaręczona z politykiem i technicznie rzecz biorąc, prawie zostałam WAG, żoną sportowca, ale w ostatecznym rozrachunku były to bezowocne próby. Bliżej nie dotarłam. Nie mogłam być częścią czyjś dziedzictwa. Stąd ten śmiech.

„Nie żartuję, Josephine”, odpowiedział Andrew tym samym surowym tonem, którego użył, aby przekazać mi tę wiadomość. Ale ja, niezrażona, roześmiałam się jeszcze bardziej. Wtedy wspomniał o mamie. Nie pamiętam dokładnie, co powiedział, tylko słowa „Eloise” i „Przykro mi z powodu twojej straty” albo jakieś inne uprzejmości.

Później zdałam sobie sprawę, że dokładnie w tym momencie przestałam słuchać. Było coś o jakiejś asystentce, która umiała połączenie telefoniczne. Coś o tym, że Andrew doceniłby, gdybym zachowała tę rozmowę w tajemnicy. I coś o prasie. Ale podczas reszty rozmowy wszystko zwolniło, a ja odpłynęłam myślami, od czasu do czasu kiwając głową i wydobywając z siebie jakieś monosylaby, gdy na linii zapadała cisza.

Tamtej nocy nie zmrugałam oka. Ten fakt mnie zaniepokoił. Do tego stopnia, że – mimochodem – pozwoliłam jednemu z wazonów wyslizgnąć mi się z rąk, żebym mogła spędzić całe godziny na składaniu go z powrotem i... przestać myśleć. Albo mieć do tego wymówkę. Nie byłam pewna. Zawsze uważałam

się za osobę, która lubi zmiany. W większości przypadków zmiany zostały mi narzucone, ale mogłam wskazać kilka, kiedy sama ich szukałam. Lubiłam wyzwania. A zmiana tak na mnie działała. Nie miałam innego wyjścia, musiałam przez nie przebrnąć i przez jakiś czas wszystko wokół mnie się zacierało, a cała moja energia skupiała się na jednym celu. Wznoszeniu się na szczyt. Przewyciężaniu.

Moim zdaniem zmiana urozmaica życie. Trzyma cię w gotowości.

Ale po raz pierwszy, stając w obliczu tego nieoczekiwanego rozwoju sytuacji, tego nowego wyzwania, tego świeżego rozdania kart, które los dla mnie przygotował, nie czułam ekscytacji. I to mnie przerażało.

Ponieważ po stracie mamy porzuciłam wszelką nadzieję na odkrycie, kim był Andy. Na znalezienie tych brakujących elementów układanki, które uczyniły ze mnie kobietę, którą jestem dzisiaj. Albo po prostu na możliwość podjęcia decyzji, czy chcę kontynuować te poszukiwania.

Teraz nie miałam już zbyt wielkiego wyboru. Andrew właśnie wylądował w samym środku mojego prostego życia, otwierając przede mną drzwi.

Wrzało we mnie milion pytań, które dusiłam w sobie. Czulałam się jak inna Josie.

„Normalność to coś, co robisz z kartami, które wręcza ci los”.

Chyba właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że zaczyna się zmiana.

## ROZDZIAŁ 1

### *Obecnie*

Włożyłam rękę do słoika z dżemem.

– No dalej, no dalej, no dalej – szeptałam, patrząc, jak część dżemu wylewa się na boki, gdy wpychałam dłoń coraz głębiej, a truskawkowoczerwona maź oblepia moją skórę aż po nadgarstek. – Nie rób mi tego. Proszę. Daj się zdjąć. Gładziutko.

– Moshie? – dobiegł do mnie z salonu głos dziadka Moe.

Zamarłam, a moje palce nagle przestały się ruszać. Do diabła. Jeśli dziadek zobaczy, co obecnie utknęło mi na palcu, uwagom nie będzie końca. Ponadto jeśli zobaczy, że zmarnowałam cały dżem po tym, jak obiecałam mu upiec sernik, to by...

– Moshie – usłyszałam ponownie.

– Tak?

– Na pochdfórku jest jahaś łaba.

Przewróciłam oczami.

– Co? – zapytałam, mimo że coś z tego zrozumiałam. Byłam biegła w dziadkowym seplenieniu.

– Na podwórku jest jakaś baba – powiedział wyraźniej dziadek Moe, co wskazywało na to, że włożył protezę.

Westchnęłam, zerkając na swoją desperacką próbę zdjęcia tej rzeczy z palca. Powinnam była użyć masła. Albo oleju. Musiałam zająć czymś dziadka i trzymać go z dala od kuchni.

– Skąd możesz mieć pewność, że ona po prostu nie przechodzi obok?

– Wchodzi po schodach na werandę. Nie podoba mi się.

No cóż, niech to szlag. Kto nas nawiedza?

– Co ci mówiłam o robieniu za monitoring osiedlowy, co? – powiedziałam, wyciągając rękę ze słoika i ciągnąc palec drugą ręką. – Widzą, że wszystkich obserwujesz jak jakiś – użyłam trochę więcej siły – dziwak w szelkach. – Rzecz nie drgnęła ani o milimetr. Spróbowałam jeszcze raz. – Wiem, że myślisz, że stoisz na straży sąsiedzkiej czy coś takiego, ale...

Moje palce omsknęły się, dłonie odsunęły się od siebie, a łożek uderzył w słoik, który upadł na podłogę z głośnym truskawkowoczerwonym mlaśnięciem.

– Ale co? – zapytał dziadek Moe. – I co to było?

Przekląłam w duchu kompletne pobojowisko, jakie zrobiłam na blacie, podłodze i, cóż, na samej sobie. Stałam otoczona odłamkami szkła, a ręce, szlafrok, stopy – wszystko miałam umazane dżemem.

– Po prostu coś upuściłam. Wszystko jest pod kontrolą.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

A może nie wszystko.

– Dziadku Moe?

Usłyszałam skrzypienie jego krzesła, gdy na nim siadał.

– Moe Poe? – zawołałam najśłodszy głosem, wycierając ręce o... Gdzie podziały się moje ręczniki kuchenne? Użyłam szlafroka. – Czy będziesz tak miły i otworzysz drzwi?

– Ona nie przyszła tu do mnie – oznajmił. – I nie lubię obcych. I nie podoba mi się, jak ona wygląda. Poza tym – dodał po chwili – jestem stary.

– Bycie starym nie jest wymówką na wszystko, wiesz? – Podniosłam z podłogi kilka kawałków szkła, po czym ostrożnie

podeszłam do zlewu, do którego je wrzuciłam. – Nie możesz wykorzystywać tego argumentu, żeby wycygnąć ostatnią czekoladową babeczkę i nie otworzyć drzwi.

Gdy zbierałam pozostałe odłamki szkła i czekałam na znak, że Moe się ruszył, z salonu dobiegła seria gniewnych mamrotów. Nie zareagował na moją prośbę, co jeszcze bardziej pchało mnie na skraj... załamania.

– Moe Poe, czy ty... – Dzwonek do drzwi zadzwonił ponownie, zaskakując mnie. Ostre ukłucie bólu na środku dłoni sprawiło, że się wzdrygnęłam. – Cholera – jęknęłam. – Głupie, durne szkło i głupie, durne...

Dźwięk dzwonka do drzwi rozległ się po raz trzeci. I czwarty. I piąty.

Zacisnęłam powieki i wypuściłam z siebie sfrustrowane westchnienie.

– Maurice Antonne Brown – warknęłam przez zęby. – Jeśli nie otworzysz tych drzwi, przysięgam, że skopię ci te twoje uparte śmierzące cztery litery...

– Dobra, dobra – wychrypiał. Jego krzesło zaskrzypiało. Potem nastąpiły powolne i ciężkie kroki. Później dźwięk otwieranych drzwi wejściowych, a następnie: – F szym mohe pomós?

A to skurczybyk. Dziadek sprawiał, że czasami miałam ochotę krzyczeć.

Jakiś kobiecy głos odpowiedział:

– Słucham?

– F szym mohe pomós? – powtórzył dziadek Moe niczym absolutnie nieznośny mężczyzna, którym potrafił być. Jakaś część mnie nie mogła uwierzyć, że znowu wyjął te zęby, ale czemu się dziwić? Dziadek był certyfikowanym zrzędą, a odkąd przeszedł łagodny udar, po którym od razu spakowałam jego rzeczy i przeprowadziłam go do siebie, jego zrzędlivość osiągała maksymalny poziom, mimo że teraz niemal w stu procentach wyzdrowiał.

– Szukam... – zaczęła znowu kobieta. – Szukam Josephine Moore. Jestem pewna, że to właściwy adres. Potwierdzili to wszyscy w mieście, z którymi rozmawiałam.

– I? – miał czelność powiedzieć staruszek.

Nastała chwila ciszy, po czym kobieta powiedziała:

– I nigdy się nie myślę. I nie chciałabym marnować więcej czasu, więc jeśli mógłby pan poprosić panią Moore, byłabym wdzięczna. Stoję tu od dłuższego czasu i widzę, jak mnie pan obserwuje z okna. Nie wiem, czy to miało na celu zastraszenie mnie, ale nie zadziało. – Kolejna pauza. – Miałam do czynienia z dużo straszniejszymi osobami niż bezzębny staruszek w szelkach.

Jęknęłam. Ostatnim razem, gdy ktoś nazwał go staruszką, dziadek Moe trafił ze mną na okładkę gazety hrabstwa. Było to czarno-białe zdjęcie, na którym walczy z Otto Higgingsem o parę ogromnych nożyc ogrodowych, a ja stoję między nimi z wyciągniętymi ramionami i paniką na twarzy. Do dziś nawiedza mnie to w snach. Zawsze chciałam trafić na pierwszą stronę gazety, ale życzyłam sobie, aby to nie było pod nagłówkiem: „Wojna o przystrzyganie w Green Oak. Burmistrzynie walczy o utrzymanie pokoju”.

Jak na zawołanie z korytarza dobiegł chichot dziadka. Nie brzmiało to jak przyjemny dźwięk. To był chichot zapowiadający, że Moe coś knuje, więc pomimo całego dżemu, od którego się lepiałam, szlafroka i tak, maseczki z ekstraktu z alg na twarzy, ten jego chichot natychmiast zmusił mnie do działania. Wytarłam ręce, jak tylko się dało, o swój i tak już usmarowany szlafrok i pobiegłam do drzwi.

Na mój widok dwie pary oczu mrugnęły z niedowierzaniem. Usta dziadka zaczęły formułować pytanie, na które nie chciałam odpowiadać, więc uśmiechnęłam się i – delikatnie – odsunęłam staruszkę na bok. Dopiero wtedy zauważyłam ciemniejszy odcień czerwieni na swojej ręce. Zdecydowanie była to krew, nie dżem.

Wsadziłam obie ręce do kieszeni szlafroka i obróciłam się, stając przodem do kobiety.

– Cześć – przywitałam się, szerzej się uśmiechając. – Jestem Josie. Josephine Moore. We własnej osobie. Chętnie bym uściśnęła pani rękę, ale... zarazki. Co powie pani na przywitanie z łokcia? – Wystawiłam łokieć. – Słyszałam, że to teraz bardzo modne. Wśród dzieciaków i... młodzieży. W internecie. Wszędzie.

Kobieta popatrzyła na mnie z zaskoczeniem, jej wzrok przesunął się kilka razy w górę i w dół po moim ciele, aż na jej twarzy pojawił się dziwny grymas.

– Absolutnie nie. Nie ma mowy. – Teraz na jej twarzy malowało się przerażenie. – Co... – Zdawała się szukać odpowiednich słów. – Dlaczego wygląda pani tak, jakby wyskoczyła z pop-tarta?

– Och. Właściwie to, hmmm, właśnie... coś piekłam – wyjaśniłam ze śmiechem. Nie miałam zamiaru się śmiać. Chciałam, żeby ten dzień się wreszcie skończył i żeby nadszedł nowy, w którym nie będę miała na palcu pierścionka. – Jestem bałaganiarą. To dość powszechne u osób, które zajmują się pieczeniem. Nie dosłyszałam jednak pani imienia. Ja jestem Josie, ale to już obie wiemy.

Grymas na twarzy kobiety nieco złagodniał.

– Jestem Bobbi – oznajmiła, kręcąc głową, lecz jej blond bob prawie nie drgnął. – Bobbi przez „i”. Bobbi Shark\*.

Nastąpiła niezręczna chwila ciszy.

– Piękne nazwisko – odparłam. – Czy chciałaby pani wejść, Bobbi?

Uniosła brew.

– Zachowuje się pani tak, jakby nigdy wcześniej o mnie nie słyszała. Miała się pani mnie spodziewać.

---

\* *Shark* (ang.) – rekin (przypisy pochodzą od tłum.).

Dobrze, że maseczka z alg ukrywała moje zmieszanie, ponieważ pamiętałabym, gdybym miała się spodziewać kogoś o nazwisku Shark. Ale jednocześnie to nie byłby pierwszy raz, kiedy ktoś pojawiał się w moich drzwiach o dziwnej porze, żądając czegoś.

– Tak jak mówię wszystkim – oznajmiłam, odsuwając się na bok i szerzej otwierając ramieniem drzwi. Nie byłam już w stanie bardziej się uśmiechać. – Proszę wejść, możemy rozmawiać tak długo, jak pani chce i o czym tylko pani chce. – Rzuciłam wymowne spojrzenie mężczyźnie stojącemu po mojej lewej stronie. – Dziadek Moe pójdzie do kuchni i zacznie ogarniać ten niewielki bałagan, który tam zostawiłam. A potem przygotowuje dla nas herbatę. P r a w d a, d z i a d k u?

Dziadek mruknął coś pod nosem, ale trzeba przyznać, że odwrócił się i skierował do kuchni.

Ponownie skupiłam uwagę na Bobbi, która nie wykazywała chęci przekroczenia progu.

– Albo – zaproponowałam, tłumiąc westchnienie – możemy pogawędzić tutaj, przy drzwiach. Ale w takim razie możemy zapomnieć o herbatce. Nie sądzę, żeby dziadek miał ochotę na robienie za kelnera.

Mój żart nie wypalił. I sądząc po tym, jak się skrzywiła, nie myślę, żeby w ogóle do niej dotarł.

– Nie wie pani, kim jestem – powiedziała Bobbi – i zaprasza mnie do środka?

Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

– Cóż, nie sądzę, żeby była pani wampirzycą, więc...

– Nie, nie – przerwała. – Proszę przestać z tym słodzeniem.

Zacisnęłam usta.

– Okej, po pierwsze musi pani natychmiast, od tej sekundy, przestać zapraszać obcych ludzi do swojego domu – poinstruowała mnie zaskakująco poważnym głosem. – I po drugie – kontynuowała, machając ręką w kierunku mojej twarzy i klatki piersiowej – cokolwiek to jest, nie zadziała. Nie ma

pani prawa otwierać drzwi, wyglądając w ten sposób. Nawet nie może pani spoglądać przez okno, wyglądając w ten sposób. – Wypuściła powietrze. – Przecież pracuje pani w polityce, prawda?

– Ja... – Byłam zdezorientowana. I nie miałam pojęcia, co się dzieje. – Nie lubię myśleć o sobie jako o polityczce. Owszem, jestem burmistrznią, ale w tak niewielkiej miejscowości taką funkcję pełni się na ochotnika. Przez większość dni nie muszę robić nic. – W inne dni gaszenie metaforycznych pożarów skracało mi życie o kilka dobrych lat. Wtedy coś mi przyszło do głowy. – Proszę poczekać. Chodzi o Carmen?

Brwi Bobbi się uniosły.

– Przepraszam, o kogo?

Uważnie przyjrzałam się kobiecie stojącej przede mną – jej srebrzystoszaremu wełnianemu płaszczowi i wystającym spod niego skórzanym butom. Nienaganny makijaż, perfekcyjny bob i ledwo skrywane poczucie wyższości, z którym się wypowiadała.

Czy Clarksonowie posunęli się tak daleko w sprawie ogrodzenia, że zatrudnili jakąś ważną prawniczkę z miasta?

– Traci pani czas – powiedziałam jej. – To był tylko incydent. Clarksonowie bezsensownie trwonią pieniądze na coś, co można rozwiązać za pomocą cywilizowanej rozmowy. To, że Carmen uciekła, nie jest niczyją winą. Krowy nie są takie leniwe, za jakie się je powszechnie uważa. Potrafią być przebiegłe. A Robbie Vasquez nie miał pojęcia, co ona robi, dopóki nie zainstalował wokół stodoły kamer monitorujących. Nie spodziewał się, że Carmen będzie się wymykać. A co dopiero wkraczać na cudzy teren i wszczynać romanse z bydłem Clarksonów. To wezwanie matki natury, jeśli chce pani znać moje zdanie.

Bobbi przez „i” spojrzała na mnie z takim zdumieniem, jakby właśnie wyrosła mi druga głowa. Albo jakby zastanawiała się, jak ją odciąć i się jej pozbyć.

O Boże, czy właśnie miałam zostać pozwana? Czy Robbie miał zostać pozwany? Poczułam, jak ściska mnie w żołądku.

– Proszę nas nie pozywać. Przysięgam, że ogrodzenie zostanie naprawione.

Bobbi zamknęła oczy, po czym wymamrotała:

– To mój najgorszy koszmar.

– Więc tak czy nie? Bo obiecuję pani, pani Shark, że nie ma potrzeby...

– Pani... – przerwała mi. – To. Bydło. Krowy o imieniu Carmen. Ogrodzenia. Stodoły. Ta... pogoda. To świeże powietrze. Fakt, że od czasu opuszczenia lotniska nie widziałam żadnego Starbucksa. Wszystko to. – Otworzyłam usta, ale powstrzymała mnie ruchem palca. – Nie ma pani pojęcia, co się dzieje ani dlaczego tu jestem, a zapewniano mnie, że została pani poinformowana i że jest pani ze wszystkim na bieżąco. Mam na to pisemne potwierdzenie. Mogę pokazać pani maile, mogłabym przysiąc, że pani adres został dodany, by otrzymywała pani kopie wiadomości.

Maile?

Pod moimi powiekami pojawił się obraz. Błysk wspomnienia. A Bobbi kontynuowała:

– Myślałam, że to mój ostatni związek był toksyczny, ale klienci są gorsi niż egoistyczny partner, który myśli, że wyświadcza ci przysługę, robiąc z ciebie wariatkę. – Wyciągnęła telefon z kieszeni płaszcza i zaczęła stukać w ekran. – On się o tym dowie. To nas opóźni o cały dzień, jeśli nie dwa. Co za strata czasu.

On się o tym dowie.

On.

Przełknęłam gulę strachu. Moje słowa ledwo wydobywały się z gardła:

– Kim pani właściwie jest?

Stukanie jej paznokci ustało. Spojrzała na mnie z podziwem.

– Jestem specjalistką do spraw PR. I to drogą. Wiedziałyby pani o tym, gdyby przeczytała pani maile. – Zaczęła się nad czymś zastanawiać. – Macie tu internet, prawda? Wiem, że to odludzie i są tutaj – rozejrzała się – drzewa, góry, natura i wie pani, ten cały styl cabincore czy jak to się nazywa. Ale macie tu internet, prawda?

Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby go nie było.

Wtedy miałabym wymówkę, żeby nie zajmować się tą specjalistką do spraw PR, która mogła zostać wysłana tylko przez jednego człowieka. Przez niego.

Andrew Underwooda.

Mogłoby to usprawiedliwić moje jawne ignorowanie ostatnich prób komunikacji z jego strony. Coś innego niż to, że „miałam nadzieję zebrać się na odwagę, żeby w końcu je przeczytać”. Albo coś innego niż „przepraszam, ale nie mogę znieść kolejnej rozmowy na Zoomie, podczas której twój asystent udaje, że robi notatki, a my po prostu niezręcznie się na siebie gapimy”. Albo...

– ... pani ojciec.

Słowa Bobbi skierowały moją uwagę z powrotem na rozmowę.

Ponieważ odleciałam gdzieś myślami. A ona gadała. Najbardziej prawdopodobnej o tym, dlaczego tu jest, kto ją przysłał i w jakim celu. Coś mi zaświtało.

– Proszę poczekać. Andrew jest tutaj?

Bobbi machnęła ręką.

– Nie. Jest zbyt zajęty, żeby zajmować się takimi sprawami. Takimi sprawami.

Jakimi sprawami?

Kręciło mi się w głowie od wszystkich możliwych odpowiedzi na to pytanie i...

– Nie sądzę, żeby naprawdę mnie pani słuchała, Josephine – oświadczyła Bobbi.

Nie myliła się.